

# Bartelski, Lesław W.

---

## "Sport szkolny" 1975

---

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 20/2, 98-102

---

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

LESŁAW W. BARTELSKI

## „SPORT SZKOLNY” (1975)

Moje zainteresowania sportowe sięgają dzieciństwa. Jeszcze jako uczeń szkoły powszechnej w Królewskiej Hucie (dzisiaj Chorzów) na Śląsku byłem częstym gościem stadionu AKS w parku Redena. Tam widziałem i przeżyłem wspaniały bieg Janusza Kusocińskiego w 1929 r., kiedy pobił mistrza Czechosłowacji, dublując go. Od tej chwili postać świetnego sportowca zaciekawiła mnie i przypadek zapewne sprawił, że zetknąłem się z wieloma ludźmi, którzy go dobrze znali. Na stadionie AKS spotkałem też kapitana Kamińskiego, dowódcę kompanii w miejscowym 75 pp, entuzjastę piłki nożnej. W czasie Powstania Warszawskiego jako ppłk „Daniel” Stanisław Kamiński dowodził słynnym pułkiem AK „Baszta”, byłem podchorążym w jej dowództwie.

Po powrocie do Warszawy moich rodziców zostałem w 1931 r. uczniem gimnazjum im. Mickiewicza. Nasze boisko szkolne mieściło się przy ul. Sewerynow (dzisiaj Kopczyńskiego) naprzeciw gmachu gimnazjum. Często zostawałem po lekcjach i mimo nienadzwyczajnych warunków fizycznych (niski wzrost, kalectwo nogi) brałem udział w grach sportowych. Stamtąd wyniosłem przyjaźń starszego ode mnie, doskonałego koszykarza, a jednocześnie przewodniczącego Samorządu Szkolnego, znakomitego kolegi Michała Wojewódzkiego. W 1934 r. wychowawcą naszej klasy IV a (dawnego typu) został Lech Górski (1907—1940), wychowanek CIF (jednego z pierwszych roczników), wybitny działacz harcerski, który przeszedł do nas z gimnazjum im. Batorego. Był on najmłodszym z naszych profesorów, ale przy całej życzliwości dla nas umiał zachować autorytet i wielu moich kolegów wołało jemu zwierzać się z kłopotów niż własnym rodzicom. Nigdy nie podnosił głosu, raz tylko — bodajże w szóstej klasie — warknął na nas i zrobiła się grobowa cisza. Nazywaliśmy go Leszkiem, mieszkał przy ulicy Trębackiej wysoko na piętrze, kiedy odwiedziłem go, jak złamał nogę na nartach w Zakopanem; podziwiałem sprzęt sportowy oraz bibliotekę, bynajmniej nie tylko specjalistyczną. Czytał właśnie po angielsku *Gone with the Wind*, co nam wszystkim bardzo zaimponowało. W jednym z tygodników widziałem jego zdjęcie z grupą polskich harcerzy na tle Kapitolu w Waszyngtonie. Później, kiedy stałem się jego bliskim współpracownikiem, w jesieni 1938 r., opowiedział mi, że chciał zostać lekarzem, nie miał na studia środków finansowych, studiował coś przez dwa lata prawo (egzaminów nie złożył), a kiedy otwarto CIF, ukończył tę wyższą uczelnię. Drugim z naszych nauczycieli gimnastyki (taka była ówczesna nomenklatura) był Tadeusz Zyglar, działacz PPS, po wyzwoleniu poseł do KRN, wybitny biolog. Górski interesował się wszystkim, nic dziwnego, że był wszędzie lubiany i w całym mieście niezwykle popularny. Znałem go też na płaszczynie towarzyskiej, gdyż przyjaźnił się z Tadeuszem Ptaszyckim, kończącym architekturę, i jego żoną Anną, byliśmy wspólnie na ich ślubie i weselu, gdyż byli bliscy naszej rodzinie. Przez nich też poznałem dwóch młodszych ode mnie entuzjastów piłki nożnej — Andrzeja Łapickiego i Karola Małcużyńskiego. Ptaszycki był mistrzem Polski i rekordzistą w marszu na 2 km.

Jesienią 1937 roku pojawił się w kioskach i był kolportowany na terenie naszej szkoły „Sport Szkolny”, tygodnik, pięknie wydawany, ze świetnymi ilustracjami. Jakież było zdumienie nas wszystkich, kiedy dowiedzieliśmy się z pisma, że redaguje go nasz Leszek. Oczywiście, w klasie mojej zawrzało, wielu z nas szykowało się do pisania, ja również. Zresztą prof. Górski zachęcał nas, specjalnie zwracał się do mnie, miałem bowiem opinię poety, chociaż wierszy nie ogłaszałem, ale byłem jednym z czołowych polonistów naszego gimnazjum. Napisałem jakiś artykuł, czekałem z biciem serca, co będzie. Leszek milczał. Wreszcie w jednym z numerów „Sportu Szkolnego” zobaczyłem w rubryce „Odpowiedzi redakcji”: „Kol. L. Bartelski. Artykuł zamieścimy”. Nie był to mój debiut bynajmniej. Pierwszy utwór zamieściłem w lutym 1936 roku w „Płomyku”, redagowanym przez Wandę Wasilewską; nosił on tytuł *W cyrku rzymskim* i był wynikiem moich zainteresowań (po dziś dzień) antykami. Miałem wówczas 16 lat, honorarium wynosiło 15 zł; byłem więc niesłychanie dumny, chociaż co złośliwi koledzy twierdzili, że ten utwór przypomina im prozę Sienkiewicza. Szło oczywiście nie o jakość utworu, lecz stylistykę przejętą od wielkiego pisarza.

I od jesieni 1937 roku zacząłem jako uczeń dawnej 8 klasy gimnazjum (starego stylu) współpracować stale ze „Sportem Szkolnym”. Bywałem w redakcji, mieszczącej się w gmachu Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego, którego dyrektorem był gen. Józef Olszyna-Wilczyński, a później gen. Kazimierz Sawicki, były dowódca mego „macierzystego” z PW 36 pp. Nadmiar obowiązków w klasie przedmaturalnej sprawił, że dostałem za zgodą prof. Górskiego zwolnienie z lekcji gimnastyki, ale sportu nie przestałem uprawiać, oczywiście nie w sensie zawodowym. Nadal ganiałem po boisku do koszykówki, o ile koledzy przyjęli mnie do drużyny, czy „łupałem” w siatkówkę. No i, jak się dało, chodziłem na zawody. Górski zaprosił mnie do drukarni, gdzie robiłem korekty swoich artykułów. Przeprowadzałem wywiady z pisarzami (z tego okresu pozostała mi fotografia z Jalu Kurkiem), pisywałem ideologiczne wstępniaki, uważając sport za formę wychowania także i moralnego w myśl starogreckich przesłanek i idei Piotra Coubertina. Moje kontakty z redakcją sprawiły, że poznałem osobiście dwóch najwybitniejszych biegaczy — Janusza Kusocińskiego, który zapraszał mnie do pobliskich Łazienek, gdzie był ogrodnikiem, oraz Stanisława Pełkiewicza, jedyne, który pobił Nurmiego. On po powrocie bodajże z Argentyny został trenerem naszej reprezentacji narodowej i pisywał w „Sporcie Polskim”, redagowanym przez Wiktora Junoszę-Dąbrowskiego, zupełnie ciekawe artykuły na temat biegów. Wiktor Junosza, intelektualista, znawca muzyki operowej (miał piękny zestaw płyt), ongiś zawodowy bokser we Francji, był z redaktorów naszych pism postacią najbardziej interesującą. Z nim również przeprowadziłem wywiad, chyba to było już po maturze, którą zdałem w maju 1938 roku. Miałem wiele czasu, więc ochotniczo pomagałem przy redagowaniu „Sportu Szkolnego” i wybierałem się na Wydział Prawa UW. Kiedy prof. Górski dowiedział się, że dostałem odroczenie od służby wojskowej, od razu zapytał, czy nie zechciałbym pracować w naszym piśmie. Było to moje marzenie. Oczywiście, zaszczytował się, że to nie tylko od niego zależy.

Kiedy wróciłem z wakacji w 1938 r., spędzonych w Małopolsce Wschodniej, w słynnej miejscowości Kamień Dobosza pod Jaremczem, i poszedłem na Myśliwiecką, czekał na mnie etat. Miałem być redaktorem technicznym i pomagać red. Ewie Runge, sekretarce redakcji, w pracy nad przygotowaniem i obróbką materiału. Ponieważ nie miałem jeszcze znajomości w świecie dziennikarzy sportowych, trudno mi było u nich zamawiać artykuły. Ale z czasem wciągnąłem się w ich krąg, bywałem na zawodach jako sprawozdawca; pamiętam, jak Aleksander Szenajch poprosił mnie za pośrednictwem Edzia Trojanowskiego, bym napisał relację z jakichś zawodów lekkoatletycznych na terenie CIF (jesień 1938 r.). Chodziłem tam na wywiady, Junosza posłał mnie do kpt. Suchorzewskiego, który opiekował się młodymi

tenisistkami. Napisałem wówczas jakiś artykuł (a może to był nawet wywiad?), poznałem tam Bohdana Tomaszewskiego i Witolda Zalewskiego, późniejszych moich dobrych znajomych i kolegów po piórze, ale przede wszystkim interesował mnie mistrz Polski juniorów Olejniszyn, zwycięzca turnieju w Kamieniu Dobosza, z którym w meczu towarzyszym przegrałem 0:6. W tenisa grałem najdłużej, chyba do lat sześćdziesiątych, m.in. moimi partnerami byli Bratny i Zalewski, obecnie przewodniczący Klubu Pisarzy Sportowych przy Oddziale Warszawskim ZLP, powstałego z mojej i Edwarda Kurowskiego inicjatywy.

Jako redaktor techniczny pracowałem w „Matadorze” na Grzybowskiej, skąd po dwóch numerach musieliśmy się wynieść, gdyż konkurencja jednego z pism sportowych, drukowanego również w tej drukarni, odbijała się ujemnie na czasie naszego ukazywania się. Ja siedziałem w drukarni do pierwszej, drugiej w nocy, wracałem ciemną i pustą Towarową, stamtąd często na piechotę do domu na Saskiej Kępie (łącznie około 4 km). Górski był świetnym kolegą i niesłychanie wyrozumiałym szefem, czasami podtykał mi drobne robótki („na kolanie” w drukarni), które później honorował, abym miał pieniądze na taksówkę. Moja pensja wynosiła 100 zł (bez potrąceń), potem od 1 stycznia 1939 r. awansowałem na sekretarza redakcji i otrzymałem 130 zł. Ale prawie drugie tyle dorabiałem artykułami czy tymi drobiazgami, które kreśliłem w trakcie „łamania”. Bowiem nasze pismo, wychodzące w poniedziałki i w czwartki, przeniosło się do drukarni Piekarniaka na Okólnik w budynku cyrku Staniewskich, zaś później na Powiśle, na ul. Lipową. Metrampazem był Kazimierz Kucharski (pracowałem z nim po wojnie w „Prasie Demokratycznej”), znakomity fachowiec, przyjemny człowiek, niesłychanie solidny pracownik. Po kilku numerach, kiedy zgraliśmy się, kreśliłem na papierze poszczególne kolumny, zaś p. Kucharski jedynie pilnował, żeby tekst nie był za duży. Na Okólniku poznałem dziennikarza sportowego pism socjalistycznych, znanego i świetnego biegacza Jana Mulaka, o którym Górski mówił z podziwem, że gdyby chciał przejść z klubu robotniczego (bodajże „Skry”) do „Legii” czy gdzie indziej, miałyby o wiele lepsze warunki, on zaś uważał się za socjalistę.

Korektorem naszego pisma i zarazem fotografem był Mieczysław Groswirth, niski, mały i ruchliwy, po wojnie kapitan LWP. Z Miciem było mnóstwo kłopotów, pracował bowiem dla wielu redakcji i często spóźniał się tak, że musiałem za niego robić korektę, żeby pismo wyszło na czas. To sprawiło, że wiosną 1939 roku Groswirth odszedł, nie mogąc pogodzić różnych i sprzecznych obowiązków. Korektorem został mój brat, uczeń II klasy liceum im. Mickiewicza, Jan Bartelski, w czasie wojny kapitan RAF, oficer 304 dywizjonu, w latach 1968—1972 prezydent Światowej Federacji Pilotów (IFALPA), kapitan KLM. Dla dyrektora naszego wydawnictwa Jana Radomskiego, który operował skromnymi finansami, odejście Groswirtha było na rękę, bowiem brat mój dostał jako nieletni (miał 17 lat; ur. w lutym 1922 r.) zaledwie połowę tej stawki, co członek Związku Dziennikarzy Sportowych RP Groswirth.

Jak przedstawiała się nasza praca? W poniedziałek wpadałem na Myśliwiecką dopiero około południa, sprawdzałem, czy wszystko w porządku. Urzędowała Ewa Runge. Nasze redakcje mieściły się na pierwszym piętrze, mieliśmy małeńki pokój z widokiem na boisko szkolne w parku Agrykola; administracja mieściła się za przepierzeniem w hallu pierwszego piętra. Tam siedział p. Radomski, pilnujący spraw administracyjnych i finansowych. Wiktor Junosza pojawiał się rzadko, jeszcze rządziej Włodzimierz Humen, redaktor miesięcznika „Wychowanie Fizyczne”, organu teoretycznego, powiązanego z zakresem badań w CIF. Górski natomiast wpadał we wtorek na krótką naradę, układaliśmy treść numeru czwartkowego (cztery kolumny), z tym że dwie były progresywnie zsyłane do drukarni. Zawierały one artykuły teoretyczne, wywiady, omówienie ważniejszych wydarzeń, na co nie było ani czasu, ani miejsca w edycji poniedziałkowej, a przede wszystkim wia-

domości z boisk szkolnych. Staraliśmy się zyskiwać w szkołach średnich współpracowników i sympatyków. Wcale nie było to takie łatwe. Sport szkolny zaczął się dopiero rozwijać przy nacisku Ministerstwa Spraw Wojskowych, zaniepokojonego stanem fizycznym kandydatów do szkół podchorążych. Moi koledzy, jak np. świetny hokeista Stefan Staniszewski, należeli niezbyt legalnie do „Warszawianki”, gdyż uczniom nie wolno było należeć do klubów sportowych ani uprawiać sportu wyuczynowego. Omijano to, oczywiście, i właśnie jednym z podstawowych zadań „Sportu Szkolnego” było przekonanie władz oświatowych do masowego uprawiania sportu na terenie szkoły. Przecież w owym czasie tylko część szkolnictwa była państwowa, większość warszawskich szkół średnich należała do osób prywatnych czy stowarzyszeń. „Sport Szkolny” starał się pokazywać i inspirować ten rozwój, był to okres pionierski. Z takich współpracujących z nami uczniów (tylko rok młodszych ode mnie, a często i moich rówieśników) pamiętam z liceum Batorego piszącego o żeglarstwie młodego prozaika Ryszarda Pomirowskiego, syna znanego krytyka Leona (zginął on po zamachu na Kutscherę, aresztowany i rozstrzelany jako podchorąży, należący do plutonu słynnego Eugeniusza Lokajskiego „Broka”, ppor. AK, nauczyciela wychowania fizycznego), oraz Andrzeja Łapickiego, znanego aktora i reżysera. Przychodził także i pisywał Tomasz Domaniewski. Z moich młodszych kolegów pisywał o boksie, i to nie najgorzej, Jerzy Robaczewski, dzisiaj występujący pod nazwiskiem George Robertsa, znany antykwariusz w Halifaxie (Kanada). Najciekawsze, że ani Michał Wojewódzki, ani Włodzimierz Gołębiowski, moi starsi koledzy gimnazjalni, nie nawiązali kontaktu ze „Sportem Szkolnym”. Górski ścigał wybitnych instruktorów, jak Zenona Paruszewskiego czy Romualda Wirszyłę.

Ponieważ prof. Górski w 1938 i 1939 roku był powoływany na ćwiczenia jako oficer rezerwy w stopniu porucznika, więc praktycznie od wiosny 1939 roku kierowałem „Sportem Szkolnym”. Największą pracą miałem niedzielami, kiedy z rana śledziłem przez radio przebieg wydarzeń sportowych, zaś od wczesnego popołudnia tkwiłem w drukarni na Lipowej. Już wtedy kończyliśmy dzięki sprawnej pracy drukarni numer dość wcześnie, kalandrowanie kolumn zaczynało się o 23.00, kończyło o 1.00 w nocy. Do drukarni przychodzili współpracownicy z tekstami, które trzeba było zaadiustować, a często skrócić. Pamiętam, jak bodajże jesienią 1939 roku nie dostaliśmy sprawozdania z meczu piłkarskiego z Norwegią. Musiałem się i napisać relację, posługując się biuletynem PAT; na szczęście wysłuchałem sprawozdania radiowego, a poprzedniego dnia grałem w meczu sparringowym. Był to okres, kiedy nasze redakcje mieściły się na stadionie Wojska Polskiego i nietrudno było nas ściągnąć na boisko w charakterze przeszkadzających w grze Norwegom. Jakiś podpułkownik stanął na „naszej” bramce, w rozpiętym płaszczu i w wysokich butach z cholewami! Norwedzy nie chcieli strzelać do pustej bramki, więc patrzyli, choć nie bez zdziwienia, na wysokiego stopniem oficera, który przypominał sobie swoje młode lata.

W lipcu 1939 roku dyżurowałem w redakcji, pismo nasze nie wychodziło w okresie letnim, ale zawsze uzbierało się trochę spraw do załatwienia. W sierpniu miała pełnić dyżur Ewa Runge. Kiedy wróciłem znad morza 23 sierpnia ostatnim pociągiem przed ewakuacją, pobiegłem na Myśliwiecką. Panowała tam cisza, jedynie kilku znanych mi z widzenia cywilnych pracowników PUFW nosiło mundury. W piątek, 1 września 1939 r., stawiałem się do pracy, nie pamiętam, czy otrzymałem należną mi pensję, czy nie, raczej nie, miałem przyjść w poniedziałek po dyspozycje. Ale 4 września już nikogo nie zastałem, pokoje były puste, nad miasto nadlatywały hitlerowskie samoloty.

Lech Górski nie wrócił z kampanii jesiennej 1939 r. Odwiedziłem kiedyś Junoszę w małym pokoiku na Powiślu, dokąd przeprowadził się z Mokotowa. Ciągłe myślał o przedostaniu się za granicę, co zrobiła Ewa Runge, gdyż była córką jednego z naszych pracowników w Komisariacie Rządu w Gdańsku. Po jej nieżyjącego

ojca gestapowcy zgłosili się natychmiast po wkroczeniu, matkę osadzili w obozie koncentracyjnym. Podobny los spotkał Wiktora Dąbrowskiego, który nie wrócił do kraju po wojnie. P. Radomskiego spotkałem pod koniec okupacji, dobrze mu się powodziło, miał bowiem fabrykę bimbrową, po wyzwoleniu zamieszkał w Poznaniu.

Wprawdzie sport pociągał mnie i do dzisiaj się nim interesuję (mój bratanek, Konrad Bartelski, jest olimpijczykiem z Sapporo, startującym w barwach Wielkiej Brytanii), ale nawet w latach młodości marzyłem o pracy literackiej. Próbowałem pisać wiersze i recenzje, dopiero w latach okupacji, po zetknięciu się z grupą „Sztuki i Narodu”, zaczęła się moja prawdziwa droga twórcza. Poznałem też Wojciecha Mencla (1932—1944), poetę, a jednocześnie zawodnika tajnego klubu piłkarskiego „Błysk”. Byłem raz czy dwa na Polu Mokotowskim na nielegalnym meczu. Jednym z zawodników był Andrzej Łapicki, student podziemnej szkoły teatralnej PIST. Drugim, którego wówczas przelotnie poznałem, Zdzisław Poradzki, „Kruszynka”, mój dobry znajomy z okresu powojennego, niezły piłkarz, świetny bojownik podziemia, który zastrzelił generała SS Kutschere.

Po wojnie nie poszedłem do dziennikarstwa sportowego. Czasami zastanawiam się, czy nie zrobiłem błędu, ale już za późno, żeby odwrócić los. Nie wertowałem też „Sportu Szkolnego”, rocznik 1937/38 spalił mi się w czasie Powstania wraz z niepełnym kompletem z roku 1938/1939, z którym tak byłem związany.